

# Sępy nad Opactwem świętego Dominika

*Małgorzata Wołczyk*

**W** naszej elektronicznej epoce kamiennej, kiedy to słowo drukowane nie ma już żadnego prestiżu, poezja bywa sprawą wstydliwą, a migające obrazki stanowią powszechny sposób porozumiewania się, istnieją wciąż miejsca, które chronić mogą od zamętu. Jednym z takich miejsc na mapie Europy jest hiszpańskie opactwo znane pod nazwą Santo Domingo de Silos. Dwanaście wieków benedyktyńskiej pracy pokornych mnichów zaowocowało wydarzeniami, które co i raz wstrząsają sekretnym życiem zakonników.

Małą osadę, kojarzoną dziś przede wszystkim przez admiratorów chorału gregoriańskiego, a także mediewistów i historyków sztuki, założyli jeszcze Wizygoci. Trudno tu o skojarzenia, więc dorzucić trzeba małe wyjaśnienie. Naród hiszpański ma rodowód nieco bardziej skomplikowany niż Słowianie. Na krew statystycznego Hiszpana składa się mieszanka krwi dawnych Iberów, Wizygotów, Żydów i Maurów. Wszyscy postanowili zamieszkać na Mesecie kastylijskiej lub w jej okolicach i tak oto w bólach wzajemnych, toksycznych relacji zrodziła się średniowieczna Hiszpania.

Nie jest łatwo dotrzeć do klasztoru, kryjącego doczesne szczątki św. Dominika. Trzeba uważnie nawigować na zakrętach szosy wijącej się u brzegów parku krajobrazowego La Yecla. Obszar słynie z malowniczego, nieco mrocznego wąwozu skalnego, gdzie rzeczki i źródła od milionów lat żłobią swoje korytarze w kamieniu. Upór, potrzebny, aby pokonać tę drogę, podpowiada, że nawet przyroda sprzysięgła się, aby wycofać to miejsce poza obręb hałaśliwego świata. Świadomość zacerpnięta z usługnych przewodników, że dojrzeć można ponad głowę nie tylko orła, ale przede wszystkim zagrożony (gdzie indziej) licznie żyjący tu gatunek sępa czarnego, niespecjalnie radośnie nastraja do miejsca.

Wystarczyło jednak, że wyszło słońce, wychynęły w dole zabytkowe zabudowania, a już łatwo uwierzyć, że parę kroków dzieli nas od jednego z najważniejszych osiągnięć sztuki romańskiej XI w. W dodatku jest to miejsce, w którym wykuwał się język kastylijski, czyli hiszpański *sensu stricto*, i w którego bibliotece przechowywane są bezcenne dla europejskiej kultury skarby.

Pierwsze monastyczne zgromadzenie pod wezwaniem św. Sebastiana powstało w tym miejscu już w IX w. Zawieruchy historii najpewniej obróciłyby to miejsce w stertę paru pamiątkowych kamieni, gdyby nie przybycie mnicha Dominika w 1042 r. Urodził się w milenijnym roku, w okolicach Nawarry, a dzięki swej pobożności i pracy szybko doczekał się godności opata w klasztorze w Logroño. Konflikt z ówczesnym władcą Nawarry przypłacił wygnaniem. Tak oto przyszły święty trafił w ruiny klasztoru św. Sebastiana i podźwignąwszy je do miana jednego z najważniejszych centrów życia duchowego, religijnego i intelektualnego Kastylii, zmarł w glorii człowieka oddanego Bogu. Jako radykalny poszukiwacz prawdy o Najwyższym założył bibliotekę, która zgromadziła bezcenne dziś skarby piśmiennictwa wczesnośredniowiecznego. Zorganizowany przez niego zastęp pogrążonych w benedyktyńskiej, tytanicznej pracy skryptorów nie odcisnął się w pamięci ludu taką wdzięcznością jak cuda, które miały miejsce przy grobie. Szybka kanonizacja była odpowiedzią na jego pobożne życie i hojne rozdawnictwo darów po śmierci. Kto jak kto, ale Hiszpanie mają sporo powodów, aby pozostać w najlepszych modlitewnych relacjach ze świętym, który miast układać się z władzą, zadarł z pożytkiem cennym dla chrześcijaństwa, zaś wiecznym dla siebie.

Pieczołowicie tworzona w nowo odbudowanym opactwie kolekcja kodeksów i manuskryptów (wagi ciężkiej i gabarytów równie okazałych) przyczyniła się zaś pośrednio do powstania świeckiej świętości w powieści XX w., o czym za parę chwil i akapitów.

Samo wkroczenie w obręb opactwa poprzedza jednak spacer w labiryncie z wążowu wzniesionego ludzką ręką. Stare domostwa, odwrócone tyłem do drogi, pokazują swoje rozgrzane plecy z ciepłego kamienia. Krajobraz nieco jak po dżumie: bezludnie, pusto i nawet nie trzeba używać wyobraźni, żeby poczuć się mieszkańcem wieków średnich. Cokolwiek by nie mówić, a jeszcze więcej

przemilczeć, najbardziej zapadła wieś hiszpańska atrakcyjniejsza jest od polskiej, bo dom z kamienia lub cegły ma w sobie więcej szlachectwa od chałupy z drewna. Klasztor i zabudowania niczym nie zdradzają, że kryją wielokrotnych zdobywców platynowych płyt. Nieoczekiwany sukces albumu z 1994 r. pt. *Las mejores obras del canto gregoriano*, sprzedanego w rekordowych do dziś pięciu, a jak niektórzy dziennikarze twierdzą – ośmiu, milionach egzemplarzy, zaskoczył wszystkich, a samych zakonników przytłoczył na tyle, że przez następne dwadzieścia lat wspominają tę historię z niejaką grozą. Zawstydzeni monstualnym sukcesem, zrobili wiele, aby o nim zapomnieć.

Przylepiony do starego opactwa nowy kościół, gdzie odprawia się Msze dla mieszkańców osady i wtajemniczonych turystów (niemal tylko z Hiszpanii), nie robi wrażenia. Surowość i asceza jego wnętrza od razu biją po głowie wszystkie oczekiwania, z jakimi się tam wchodzi. Niech się żadnemu przybyszowi spragnionemu smaczków spotkania z „wokalistami” nawet nie zdaje, że bohaterem będzie ktokolwiek inny niż Bóg czy jego ukrzyżowany Syn. Gdy posiedzi się w ławce, w oczekiwaniu na Mszę, można zgodzić się już bez szemrania, że taka skromność rzeczywiście przystoi mistrzom. Zaopatrzona w kserokopię śpiewnika na okoliczność XVI niedzieli czasu zwykłego, wiem już jedno – razem nie pośpiewamy. Przeglądam partytury, w których dosłownie roi się od nut i znaków chromatycznych, w dodatku naćkanych na czterolinii. Jak okiem sięgnąć nie ma nigdzie metrum i związanych z nim taktów w utworze. Rytm jest swobodny, dostosowany do łacińskiego tekstu, który musi wybrzmieć tak czysto i zrozumiale, jak to tylko możliwe. Zachodzi obawa o płuca mnichów, bo z gąszczu zapisu nutowego nie wynika, aby mogli sobie skraść choć jeden haust powietrza. Chorał gregoriański mam jak na dłoni, ale jest mi niestety obcy jak fizyka kwantowa, bo ten jednogłosowy śpiew liturgiczny w Kościele rzymskokatolickim już w zasadzie dokonał żywota. Jednym z ostatnich bastionów na świecie, gdzie go można usłyszeć na żywo, jest właśnie Santo Domingo de Silos. Trudno dociec, gdzie dokładnie leży przyczyna agonii muzyki sakralnej w jej najstarszym, jednogłosowym wydaniu. Sobór Watykański II w Konstytucji o św. Liturgii z 4 XI 1963 r. podkreślił wielkie znaczenie chorału gregoriańskiego w śpiewie sakralnym. Poso-

borowe dokumenty Stolicy Apostolskiej zawierają ponoć szereg instrukcji, jak zadbać o pielęgnowanie i praktykę chorałową. Zdaniem jednak wielu pesymistów śpiew jednogłosowy poległ dawno temu właśnie z racji posoborowych zaniedbań i jest już za późno na jakiegokolwiek próby resuscytacji. Wyjąwszy parę opactw na świecie, w których jest kultywowany, jedynym jego miejscem koncentracji jest półka z napisem „muzyka sakralna” w dużych sklepach płytowych.

Oidium dyletanta i profana grozi tym, którzy ośmieliliby się wypowiedzieć na głos sugestię, że są to pieśni zawodzące, mdłe i trudne, zwłaszcza dla ucha współczesnego człowieka targanego wątpliwościami na gruncie wiary. Tak naprawdę chorał gregoriański jest modlitwą liturgiczną i poza kontekstem sakralnym może być niezrozumiały lub trudny w odbiorze. Mnisi z klasztoru w Silos podnoszą wspólne śpiewy gregoriańskie siedem razy na dzień. I tylko ten, kto miał szansę widzieć ich niejako w akcji, zgodzi się z porównaniem, wypowiedzianym przez poprzedniego przeora zakonu – Dom Clemente Serne, że chorał jest ich wehikułem, który przybliży ich do Boga. Rzeczywiście, śpiewający mnisi, zatopieni do cna w modlitwie, wyglądają niczym zjawy legalnie przybywające z innego wymiaru rzeczywistości. Najdziwniejszy pozostaje fakt, że brzmia zgodnie, synchronicznie, płynnie, bez cienia wysiłku na twarzach. Nauka i praktyka sprawiły, że ten majestatyczny, zawity śpiew staje się dla nich jakby funkcją oddychania. Rytm śpiewu jest na usługach słowa, bo chorał kształtował się w VIII w. w intymnym związku z łaciną i rozkładem akcentów.

Chorał zdolny jest pomieścić pełną gamę emocji, wyrazić wszystkie uczucia ludzkiego serca, od dna rozpacz po błogi spokój. Jakkolwiek częściej brzmi jak swoisty płacz duszy, wołającej do Boga o pomoc. Ta żarliwa modlitwa właśnie po to została stworzona, aby w pokorny sposób wybłagać od Pana siły do życia zgodnego z Ewangelią. Zdaniem nauczyciela tajników tego śpiewu, Moisesa Salgady, dziś może być echem utraconego raj. Śpiew tak subtelny, eteryczny, zanurzony w głęboko przeżywanej relacji z Bogiem, stoi w kontraście do zgiełku dzisiejszych czasów. Być może jest to powód, dla którego szesnaście albumów nagrywanych przez mnichów na przestrzeni lat 1956–1970, a wyda-

nych dopiero w latach 90., rozeszło się w rekordowych ilościach w trzydziestu dwóch krajach świata (m.in. w Singapurze, Korei Płd., Tajwanie, Japonii). Sukces ostatniej płyty *Największe dzieła chorału gregoriańskiego* w 1994 r. wprawił w popłoch wszystkich mnichów, wnosząc trudny do opanowania zamęt w ustatkowane, wyciszone życie klasztoru. Mimo upływu ponad dwudziestu lat od czasu boomu fonograficznego opat Dom Clemente Serna indagowany w wywiadzie internetowym o tryumf sprzed lat – kurczy się w swym szczuplutkim jestestwie na myśl o minionej okupacji. „Inwazja dziennikarzy – wspomina – była czymś, co przekroczyło granice naszej wyobraźni”. Archipelag ich samotności zalany został przez rzesze turystów, fanów i ciekawskich. Były to trudne chwile dla klasztoru, który publikował nagrania z niewinną intencją, aby podzielić się dziedzictwem piękną śpiewów gregoriańskich i poniekąd „poewangelizować” z pomocą strun głosowych. Znajomy Hiszpan wspominał mi też o cichym rozłamie w zakonie, z którego na znak protestu oddaliło się paru braciszków. Osią niezgody były wątpliwości dotyczące ewentualnej trasy koncertowej i dalszych komercyjnych planów wykorzystania swych gardeł i dziedzictwa chorału. Szybko jednak uporano się z wątpliwościami i wewnętrznymi sporami, konstatując, że zakon ma promieniować duchowością, modlitewnym skupieniem, miast podpisywać umowy z wytwórniami płytowymi, które odkryły w opactwie żyłkę złota. Pomimo upływu lat, jak przyznają zakonnicy, presja rynku i ludzi z nim związanych nie ustaje, co jeszcze bardziej umacnia ich w odmowie. Rozlicznych przykrości doczekali się również ze strony wspólnoty wierzących, która tu i ówdzie podnosiła głosy, że w czasach kryzysu, monstualnego bezrobocia, a czasem nawet niedostatków i głodu, klasztor powinien obrócić swoje dary w bogactwo i rozdać je potrzebującym. „Nie jest naszą misją przekształcić się w Ministerstwo Finansów, rozdające świadczenia potrzebującym” – odpowiedział twardo były opat benedyktynów. Co wytrwali w temacie snują wizję milionowych zysków, których odmawia sobie i innym kapituła zakonu. Dom Clemente Serna przyznał, że warto byłoby wykorzystać głosy młodych, uzdolnionych mnichów, którzy w międzyczasie zasilili ich szeregi, ale dopóki wokół ewentualnych nagrań krążą tak niezdrowe oczekiwania, presja mediów i wydawców, nie

zdecydują się na ryzykowną powtórkę eksperymentu z lat 90. Poza tym, jak skromnie zapewnił, nie są ani wyjątkowym zakonem, ani też jedynym tak rozśpiewanym, więc dziwi go nadmierna uwaga obserwatorów i mediów.

Klasztor benedyktynów chce pozostać wierny swej misji modlitwnej i intelektualnej, choć zdaje się, że mury ich opactwa stają się coraz cieńsze pod naporem wścibstwa społeczeństwa, które radę, by podejrzeć dziwaczne wyobcowanie trzydziestu mnichów. Mniej lub bardziej anonimowo przewijają się wśród gości postaci z pierwszych stron gazet (nie tylko prasy hiszpańskiej). W maju 2013 r. opactwo odwiedził Umberto Eco, który zjawił się przy okazji odbierania doktoratu honoris causa w pobliskim Burgos. Włoch wielokrotnie potwierdzał, że iskrą, która wprawiła go w epicki rozmach nad dziełem *Imię róży*, były *Glosas Silenses*, manuskrypty z tego opactwa, przechowywane od 1840 r. w British Library. To tam, w londyńskiej bibliotece, Eco zobaczył je po raz pierwszy, a oszołomienie ich pięknem tchnęło go do napisania bestsellerowej powieści. Co ciekawe i o czym milczy się dyplomatycznie, wykradzione zostały przez starszego brata Napoleona – Józefa Bonapartego i sprzedane koronie angielskiej. Mój nieoceniony informator z Toledo napomknął, że, jak głosi wieść gminna, pod wpływem strachu przed wojskiem napoleońskim ówczesny przeor zakonu kazał rozparcelować wśród okolicznych wieśniaków wszystkie tomiszcząca, kodeksy i zabytkowe manuskrypty. Pochowane w piwniczkach, szopach i na strychach, miały przetrwać inwazję francuskich łowców skarbów. Chytry plan ocalenia powiódł się częściowo, jak można to sprawdzić, oglądając najcenniejsze eksponaty biblioteki paryskiej i angielskiej. Nie my jedni drenowani byliśmy przez okupanta z zasobów krwi i dzieł sztuki.

Mowa tu o kopiach komentarzy słynnego Beatusa z Liébany (ok. +799), autora „bestsellerowej” owych czasów summy egzegetycznej do Apokalipsy św. Jana. Mnich uchodził za światłego teologa, najwybitniejszego intelektualistę północnych królestw Iberii. Mimo że jego opasłe dzieło nie zachowało się do naszych czasów, liczne kopie jego księgi, tzw. *Beatos*, świadczą o wyjątkowej pozycji i uznaniu dla jego spuścizny. Komentarze Beatusa odnosiły się w sposób szczególny do postępującej islamizacji półwyspu

i przepowiadały rychły koniec świata. Nie da się ukryć, że fatalna sytuacja chrześcijan mozarabskich skłoniła go do odczytania Janowych Objawień właśnie w tym politycznym kluczu. Obraz tryumfującego Chrystusa miał być pociechą dla wiernych, niezłomnych chrześcijan, oczekujących swej nagrody w Niebie. Opactwo Santo Domingo jest w posiadaniu najstarszej, pochodzącej z IX w. części kopii komentarzy Beatusa z Liébany. Bezprecedensowe jest bogactwo miniatur, będących splotem najróżniejszych tendencji artystycznych: sztuki wizygockiej, karolińskiej, mużułmańskiej, a nawet późnorzymskiej. Powieściopisarz nie krył wzruszenia, gdy odsłaniano przed nim skarbiec biblioteki. Słynne, iluminowane manuskrypty z XI w. po dziś dzień świecą własnym światłem i dostojnością, i to do nich nawiązywał przecież w kluczowych momentach swej powieści. Jak donoszą świadkowie, literat nie uniknął powtórzeń, bo zdanie, które wciąż szeptał, brzmiało mniej więcej: „Nigdy nie widziałem czegoś równie pięknego!”.

Jeden z bohaterów powieści *Imię róży*, Jorge z Burgos, jak tłumaczył autor, jest nie tylko figurą, która w zamyśle miała być hołdem złożonym Jorge Luisowi Borgesowi (niestety, postać zaczęła żyć własnym życiem i sprzeniewierzyła się wzniosłej roli, jaką miała wypełnić), ale też echem, które przywoływać ma bibliotekę klasztoru w Silos. Nie dziwi więc, że odsłaniano przed nim najstarsze manuskrypty Europy, tym bardziej że powieść ma swoich admiratorów także w klasztorze. Zapytany przez dziennikarkę przy zupełnie innej okazji opat klasztoru Dom Clemente Serna (sprawujący swą godność od 1988 do 2012), czy podoba mu się *Imię róży*, odpowiedział bez namysłu: „Fantastyczna powieść! Czytałem ją w języku włoskim i podobała mi się bardzo. Naprawdę! Potem poszedłem na film, ale zaraz wyszedłem. Nie mogę się zgodzić z taką wizją życia klasztornego, jaka została przedstawiona. Czy tam choć jedna osoba była normalna?!”.

Zadawałam sobie podobne pytanie, patrząc na całe zgromadzenie uczestniczących we Mszy świętej mnichów. Nie, nie było wśród nich żadnych sprośnych, pokracznych gęb na wzór tych filmowych od Annauda. Wsiadali do tego swojego wehikułu i w strzelistej rozmowie z Bogiem prowadzili dialog, o jakim nie mamy pojęcia. Nie słuchają radia, podczytują ledwie dwa tytuły prasowe („Dziennik z Burgos” i „El Mundo”), telewizję włączają tylko

na okoliczność ważnej papieskiej pielgrzymki lub noworocznego koncertu wiedeńskiej orkiestry. Z Internetu korzystają niezwykle oszczędnie i wyłącznie w ramach pracy. Ich doba zaczyna się o piątej trzydzieści, kończy przed dwudziestą trzecią. Dzień wypełniają modlitwa, lektura i kontemplacja. Poza tym drobne prace, które służą utrzymaniu klasztoru i utrzymaniu swego ciała przy życiu (skromna ilość jedzenia i snu). „Chrystus nam w zupełności wystarcza!” – wzrusza wesoło chudymi ramionkami młody, roześmiany zakonnik Ramon.

„Czy tam jest choć jedna osoba normalna?!” – zastanawiam się po sześciu godzinach wizyty w opactwie. Chyba nie. Mnie się naprawdę wydaje, że widziałam tam same połówki świętych. ■